Artur Laisen

Studnia Zagubionych Aniołów

GENIUS CREATIONS

Artur Laisen "Studnia zagubionych aniołów". Fragment

Ebola

Fragment książki Artura Laisena "Studnia zagubionych aniołów", która ukaże się na jesieni nakładem wydawnictwa Genius Creations.

Eugene

Gdzie zatem powinienem rozpocząć? Jaką scenę przywołać teraz przed twoje oczy, nieznajomy? Jaki sens nadać mojemu egene − prologowi przed prologiem? Bo przecież w tej opowieści zbiegło się kilka historii, z których każda miała swój własny początek (i jak się wydawało, także zakończenie). A każda z nich również składała się z kolejnych, osobnych wątków, które znów − choćby umownie − zaczęły się w jakimś określonym czasie i miejscu.

Tak oto natrafiamy na paradoks fraktala, płatka śniegu. Choć wydaje się taki maleńki, gdy usiłujemy uważnie ogarnąć umysłem jego kształt, prześledzić wszystkie linie, nagle okazuje się, iż w istocie ciągnie się w nieskończoność. My również moglibyśmy teraz wyruszyć w naiwną wyprawę w poszukiwaniu mitycznego początku, który ciągle wymknąłby się nam w ostatniej chwili, aż wreszcie dotarlibyśmy do narodzin samego czasu. Być może należałoby rozsądnie uznać, że początki i zakończenia w ogóle nie istnieją, ale obaj dobrze wiemy, iż żadna dobra opowieść nie może się bez nich obejść. Tym właśnie przecież opowieści różnią się od życia: początki i zakończenia nadają im sens, którego nie odnajdziemy pośród codzienności. Dają kojącą iluzję porządku, nawet jeśli w głębi duszy zdajemy sobie sprawę, że wszystkim rządzi chaos.

Od czego więc rozpocznę? Od Jeźdźców Świetlistych Rydwanów, u samego zarania Athane zmagających się z grozą, której nie potrafilibyśmy zrozumieć ani nazwać? A może od opowieści o nierozstrzygniętym pojedynku dwojga potężnych czarodziei z zupełnie innego świata, który, choć oni sami już dawno odeszli, trwał nadal, toczył się, przekraczając granice czasu, przestrzeni, życia, śmierci a nawet samej realności? A może…

Nie, daleki słuchaczu. Moim egene, moim początkiem przed początkiem stanie się inna scena, bynajmniej nie odleglejsza w czasie od wszystkich tych, które moglibyśmy sobie teraz wyobrazić i, paradoksalnie, sama w sobie stanowiąca epilog pewnej bardzo długiej opowieści. Scena, która, jak mówią legendy, rozegrała się na dalekich krańcach Świata Błękitu, pośród lodowych przestrzeni.

Być może widziałeś „Upadek Mrocznej Gwiazdy”, słynny obraz mistrza Nuriego? Oryginał wisi w Zielonej Sali pałacu chosry w Lśniącym T’araf, ale niezliczone kopie krążą po całym królestwie i poza nim.

Złocisty rydwan Bohatera szybuje ponad śnieżnymi polami, ponad krą, ponad rozrzuconymi wszędzie truchłami przerażających potworów, przyzwanych przez uciekającego w panice wroga. Za plecami Jeźdźca burzowe chmury rozchodzą się, ukazując błękit nieba − znak, że demon utracił swą moc. Bohater, odziany w świetlistą zbroję, wysoko wznosi włócznię. Nieco pod nim, drugi rydwan, czarny jak smoła, pikuje w dół, ciągnąc za sobą ciemną smugę. Złowroga kościotrupia postać w płaszczu, który zdaje się pochłaniać światło, otwiera usta do ostatniego krzyku…

Wielu podziwiało ten obraz, wielu czerpało z niego natchnienie. Jeśli i ty się do nich zaliczasz, nie czytaj dalej, gdyż moja wizja może wzbudzić w tobie konsternację, a nawet niesmak. Ja bowiem, na

przekór mędrcom i artystom, zupełnie inaczej wyobrażam sobie to, co zaszło przed wiekami na dalekiej północy Athane.

Instynkt podpowiedział mu, że zbliża się już do celu. Leciał na wysokości około stu stóp, trochę wyżej bowiem brunatny pył gęstniał i nawet on nie był w stanie sięgnąć którymkolwiek ze swych zmysłów dalej niż na odległość rzutu włócznią. Odczucie to nie było przyjemne, ale równocześnie w jakiś sposób przynosiło pociechę; dla jego wroga bariera ta musiała być o wiele bardziej dotkliwa.

Szybował w swym złocistym alay ponad lodową pustynią, na której rozegrała się ostatnia bitwa, ponad rozbitymi kawałami kry. Na niektórych wciąż jeszcze leżały krwawiące truchła tych spośród bestii, którym udało się dotrzeć aż tutaj, choć większość zsunęła się już do wody i opadła na zimne dno oceanu. Tylko najpotężniejsze i najbardziej wytrzymałe dotrwały aż do samego końca pogoni. Długi na setki mil szlak usiany był zwłokami rozmaitych istot, śnieg splamiony krwią we wszystkich kolorach tęczy.

Ludzie przepadli już na samym początku, nim w ogóle doszło do jakiegokolwiek starcia, wyeliminowani przez zimno i wycieńczenie – na szczęście oni i tak stanowili najmniej wartościowy, a zarazem najłatwiejszy do odtworzenia element. Po prawdzie zabójczego tempa, jakie narzucił uciekający wróg, nie wytrzymało również wiele znacznie silniejszych stworzeń. Potem doszły jeszcze zasadzki, niespodziewane burze śnieżne, lód rozstępujący się znienacka pod stopami maszerujących, potężne wieloryby wywracające krę i niezmordowane watahy wilków, rozszarpujące w błyskawicznych atakach rozciągnięte kohorty.

W pościg ruszyła cała armia, zagarniając północ szeroką falangą, odcinając wrogowi wszelkie możliwe drogi ucieczki, gnając jego śladem poza koło polarne niemal aż do samego bieguna. Nie można było uczynić inaczej, nie można było pozwolić na choćby cień szansy, że uciekinierowi uda się wymknąć.

Lecz, niestety, miało to pewną dotkliwą konsekwencję – jego własne kohorty praktycznie przestały istnieć. Niechętnie zaakceptował fakt, że teraz nie będzie już komu ścigać ocalałych sług i sojuszników wroga. W najgorszych nawet koszmarach nie przeczuwał, że pogoń potrwa aż tak długo i będzie go kosztować całą armię, którą z takim mozołem skompletował na nowo po klęsce poniesionej na stepach Shar-Shegi. Jednak nawet gdyby to przewidział, nie cofnąłby rozkazów – była to cena, którą należało zapłacić. Być może stworzenie kolejnej, podobnej armii zajmie stulecia. Lecz teraz miał już czas, mógł czekać. Cierpliwość zawsze była jego cnotą.

Wyczulone do granic możliwości zmysły nie rejestrowały już żadnych śladów walki. Pięć hag-am, wszystkie, które z wielkim trudem udało mu się skonstruować, powinny już dokończyć dzieła. Trzymał je w rezerwie aż do samego końca, czekając, aż pogoń i niedobitki armii osłabią wroga.

Alay delikatnie opadł w dół i osiadł na wielkiej krze. Ostrożnie zeskoczył z pojazdu i ruszył do przodu, podpierając się włócznią. Kierował się w stronę, gdzie pył gęstniał, utrzymywany nad wrogiem przez jego tymczasowych sojuszników.

Przez jedno mgnienie poczuł ukłucie niepokoju. A co jeśli w decydującym momencie Kemanah wycofa się, postanawiając nieco wyrównać szanse w potencjalnym pojedynku, licząc na to, że on i wróg dogodnie unicestwią się nawzajem i za jednym zamachem pozbędzie się obojga rywali? Sięgnął ku górze – powietrze było martwe i nieruchome, i nic nie zapowiadało, by cokolwiek mogło się zmienić. Nie, Kemanah powinna dotrzymać słowa – w końcu nienawidziła wroga bardziej nawet niż on sam. Podobnie jak on, nie podjęłaby też najdrobniejszego nawet ryzyka. Nie w tej sprawie. Nie, dopóki inwazja ostatecznie się nie zakończyła. Z pewnością rozumiała, że aby walczyć o władzę nad światem, najpierw należało go ocalić.

Przeskoczył na kolejną krę. Pył jeszcze bardziej zgęstniał. Kemanah należycie wywiązała się ze swojej części zadania, podtrzymując chmurę swą mocą, koncentrując ją szczególnie mocno w bezpośredniej bliskości wroga. Nawet on sam nie był w stanie przebić się teraz zmysłami na odległość większą niż trzydzieści kroków.

Minął rozciągnięte na śniegu, wypatroszone ciało najeżonego kolcami stwora, który wyglądał złowrogo, ale nie był chyba specjalnie efektywny. Sam już nie pamiętał, po co i przy jakiej właściwie okazji go stworzył. Kolejny kształt, zamknięty w krysztale lodu, daremnie straszący paszczą z czterema rzędami kłów. Skrzywił się z niesmakiem – nie dość, że monstra były szpetne, to na dodatek nie wypełniły swego zadania. Gdy pościg się rozpoczął, nie przypuszczał, iż będzie musiał się uciekać do pomocy hag-am. Nawet dla niego nie było to do końca bezpieczne.

Właśnie! Hag-am! Uświadomił sobie, że nie wyczuwa ich ryku. Bestie powinny przecież właśnie w tej chwili, z pyskami zanurzonymi w Wyższym Planie, rozszarpywać metafizyczne pozostałości ofiary. Wyczułby echa ich uczty, nawet jeśli w swym żarłocznym szale całe wylazłyby poza materialną rzeczywistość.

Mocniej ścisnął włócznię i ostrożnie ominął do połowy zagrzebane w śniegu zwłoki kolejnego monstrum.

I wtedy wreszcie ją zobaczył. Leżała jakieś dwadzieścia kroków dalej, oparta plecami o nieruchome ciało ostatniego z towarzyszy, wielkiego białego wilka.

W nozdrzach poczuł odległy, zanikający smród Wydrążonej Ekliptyki. Tyle tylko zostało po bestiach. Aż oniemiał ze zdumienia, choć jakiś czas temu poprzysiągł sobie, że tamta niczym go już nie zaskoczy. Zdołała wymazać pięć hag-am! Nawet w tym stanie, tu i teraz, niemal pozbawiona mocy, u samego kresu swej drogi. Wymazała je wszystkie. I gdzieś w głębi duszy rozbrzmiewało natrętne pytanie – czy on sam też, w razie potrzeby, potrafiłby jeszcze uczynić coś takiego?

Na wszelki wypadek uniósł wyżej włócznię i sięgnął zmysłami przed siebie…

Otworzyła oczy – obserwował, jak próbuje skupić na nim spojrzenie. Na planie fizycznym wyraźnie widział krew wyciekającą z ośmiu większych i dziesiątek mniejszych ran, jej własną krew, przemieszaną z posoką wilka i innych stworzeń. Ale jego wzrok odsłonił też tę głębszą, prawdziwszą rzeczywistość – rozpadające się Struktury, rozproszone Światło, wyciekającą Esencję, gromady zdezorientowanych fotonów i elektronów; zanikającą en, tracącą powoli kontrolę nad morzem nieskończonych kwantowych możliwości. Odetchnął i opuścił ostrze. Tu nie czaiła się już żadna zasadzka.

Jeszcze nigdy istota jego własnego rodzaju nie wydała mu się tak śmiertelna. Na przekór samemu sobie poczuł krótkie ukłucie żalu, wspomnienie zamierzchłych czasów, gdy żegnał towarzyszy pokonanych przez Ekliptykę.

− Ach, to ty… − szepnęła tamta z wysiłkiem. W jej głosie nie wyczuł gniewu ani wrogości, jedynie nutę rozczarowania. Spojrzał pytająco. − Śniłam piękny sen. – Uśmiechnęła się, niewątpliwie zdając sobie sprawę z ironii tych słów. – Sen, jaki pozostawiłam na sam koniec dla samej siebie. Sądziłam, że uda mi się w nim roztopić, nim nadejdzie kres. Ale ty na powrót przywołałeś mnie do tu i teraz.

− Czas snów się skończył – powiedział, również bez gniewu, po prostu stwierdzając fakt. – Teraz zapewne Władczyni Sedam odzyska swe dziedzictwo. Mam tylko nadzieję, że będzie pamiętać, komu to zawdzięcza. Czas snów się skończył – powtórzył, jakby chciał utwierdzić w tym przekonaniu siebie samego.

− Och, nie byłabym tego taka pewna. – Jej wzrok na krótkie mgnienie zalśnił dawnym antracytem. − Nie ufaj snom – są takie, które powrócą, choćbyś przez wieki spychał je w otchłań podświadomości. Staną niespodziewanie w holu twego domostwa i mrużąc oczy, sprężą się do skoku.

Zesztywniał i na powrót mocniej ścisnął włócznię. Ubranie przeciwniczki było całe w strzępach, z osławionego płaszcza ostały się jedynie skrawki. Zbroja niemal w całości się rozproszyła. Prawa rękę miała odrzuconą pod nienaturalnym kątem w bok, lewą zaciskała na futrze martwego wilka. Na śniegu obok leżały dwa strzaskane powietrzne ostrza – wiedział, że w razie potrzeby posługiwała się nimi z niemal równą wprawą co egril. Lecz to właśnie falująca włócznia stanowiła jej ulubioną broń. W tym jednym byli akurat do siebie podobni. Jego obecna broń również została stworzona ze szkieletu egril, zmodyfikowanej w odpowiedni sposób, tak by mogła posłużyć nowym celom.

Czemu więc to nie z egril w dłoni tamta stoczyła swą ostatnią bitwę? Czemu nie poszybowała na spotkanie przeznaczenia w swym czarnym alay? Nawet jeśli żadna z tych rzeczy nie mogła jej ostatecznie ocalić, dzięki nim zyskałaby przecież kilka bezcennych chwil więcej. Czemu więc nie wzięła ich ze sobą? Dla kogo je zostawiła?

Być może popadał w paranoję, ale nie wytrwałby tak długo na swym samotnym posterunku, gdyby na czas nie potrafił dostrzec wszystkich pułapek, jakie niestrudzenie zastawiała na niego rzeczywistość, przewidzieć ruchów każdego z przeciwników, zdusić w zarodku wszelkie możliwe spiski. Przypomniał sobie pogłoski, jakie rok wcześniej dotarły od jednego ze szpiegów. I samotnego wojownika, który z wyzywającym uśmiechem stanął na jego drodze, gdy na samym początku ostatniej kampanii niemal z zaskoczenia wzięli szturmem bastion wyrastający na środku przeklętej Shar-Shegi. Tamten musiał przecież zdawać sobie sprawę, że w walce z nim nie ma żadnych szans. A jednak, choć śmiertelnie zraniony, nie przepuścił ich, zagrodził przejście do wnętrza twierdzy, czekając, aż nadejdzie odsiecz. Pożegnał go wciąż tym samym wyzywającym śmiechem i drwinami…

Pamiętał też zajadłość, z jaką powracająca armia północy odrzuciła jego ariergardę. Lecz to nie ona ich prowadziła. Dlaczego nie wzięła udziału w tamtej bitwie? Już wtedy przygotowywała się do realizacji swego straszliwego przedsięwzięcia? A może… Powoli się uspokoił. Nie, przecież nawet ona nie byłaby zdolna do takiego szaleństwa.

Kobieta jakby w ogóle nie zwróciła uwagi na jego rozterkę. Delikatnie pogładziła dłonią zlepione krwią futro wilka.

− Tamra – wyjaśniła z czułością w głosie. – Przywódczyni Wschodniego Stada. Nie chciała zostawić mnie samej…

Popatrzył na nią, nie rozumiejąc. A potem wreszcie poczuł zapowiedź nadchodzącej ulgi.

− To koniec – oznajmił z mocą, jakby wypowiadał zaklęcie.

Uniosła wzrok ku niebu, już nawet nie próbując toczyć kolejnej, daremnej walki z pyłem, odcinającym ją od źródła mocy.

− Prawie mi się udało – szepnęła, tym razem z wyraźnym żalem. − Wszystko było już przygotowane. Gdybym tylko miała nieco więcej czasu…

– Wojna się skończyła – powtórzył. − Wreszcie nastanie pokój.

Tamta nieomal zakrztusiła się własną krwią w upiornej parodii śmiechu.

− Kto jak kto, ale ty akurat powinieneś dobrze wiedzieć, że wojna nigdy się nie kończy.

Jej słowa rozeszły się z nieprzyjemnym dysonansem, mącącym harmonię, jaka zaczynała już powoli obejmować zarówno jego, jak i całe to miejsce.

Skrzywił się gniewnie.

− Nie umarłaś jeszcze do końca, może zdołam ocalić jakieś fragmenty. Potem stworzę przy ich pomocy kolejne hybrydy. Wiesz, że gdybym się postarał, byłbym w stanie to uczynić.

− Jeśli postąpisz choć krok w moją stronę, zniknę w czasie krótszym niż jedno bicie serca. A przecież oboje chcemy jeszcze przez chwilę kontynuować tę rozmowę. – Uśmiechnęła się figlarnie.

− Ja? – Był coraz bardziej zirytowany tym, że nawet teraz nie przestawała go wprawiać w konfuzję. Jej uśmiech wydawał się taki lekki, niewymuszony. Jakim sposobem była w stanie zdobyć się na wesołość, wiedząc, że jej historia i cały jej świat za chwilę nieodwołalnie zniknie? Jej losy układały się w długą opowieść, pod pewnymi względami, co musiał sprawiedliwie przyznać, bardziej nawet złożoną niż jego własna. Niemal widział, jak przed gasnącymi oczami przewija się nieskończony korowód miejsc i przestrzeni, porażek i zwycięstw, przyjaciół i wrogów, dziwnych istot, które napotkała na swej drodze. Była to, doprawdy, pielgrzymka na miarę jej szaleństwa. Lecz teraz wszystko dobiegało kresu – jej wieczny bunt, wędrówka, inwazja, jakiej dokonała na Athane, i wreszcie cała opowieść. Czy naprawdę nie miała innego wyboru? On przecież kiedyś też umierał, lecz znalazł sposób, aby ocalić swój świat, ocalić swoją opowieść. By nie pozwolić przyszłości zniknąć.

− Ja? – powtórzył. − Czemu miałbym…

− Ponieważ kiedy zgasnę, drogami tego świata nie będzie już kroczyć żadna istota podobna w swej naturze do ciebie samego. Nie będzie już nikogo, kto choć w części zdołałby cię zrozumieć. Nikogo, z kim mógłbyś naprawdę porozmawiać. Staniesz się jeszcze bardziej samotny. Niemal mi cię żal.

To prawda, skonstatował, to prawda. Gdzieś na samym dnie głębokiej studni, w jaką zmieniła się przez te wszystkie eony jego świadomość, rozbłysł smutek, tamten stary smutek, o którym, jak sądził, dawno zdołał już zapomnieć, i powoli, z mozołem zaczął się wznosić ku brzegowi.

− To prawda – powtórzył miękko na głos. – Gdybyś tylko zechciała mnie zrozumieć. Gdybyś posłuchała moich wezwań. To nie musiało się tak skończyć. Razem moglibyśmy… − urwał, dostrzegając ślad drwiny na jej ustach. Smutek z powrotem opadł na dno studni.

− A ty? − pozwolił, by ton jego głosu stwardniał. – Skoro w gruncie rzeczy nadal nie chcesz mnie słuchać… Czemu ty pragniesz kontynuować tę rozmowę?

− To przez powietrze… − wyjaśniła beztrosko. − Pomimo pyłu jest takie zimne i lekkie. Takie orzeźwiające. Trudno mi się z nim rozstać.

Zastygł w bezruchu, na nowo obudziła się w nim czujność. Czyżby tamta grała na czas? Wciąż na coś czekała? Ale przecież już nic…

Ona pierwsza wyczuła narastającą turbulencję.

− An-sin! – zawołała radośnie, niczym mała dziewczynka, która właśnie otrzymała niespodziewany prezent. – Jednak powrócił!

Odwrócił się, wyrzucając zmysły daleko przed siebie. Rzeczywiście! Północny wiatr najwyraźniej okrążył cały świat, gubiąc po drodze ścigających, i niezauważony powrócił na pole bitwy. Poczuł

niepokój – jeśli… Ale nie, chmurę pyłu wspierała teraz nie tylko sama Kemanah, ale i połączona solidarnie wola wszystkich Mocy Ziemi. An-sin mógł jedynie w bezsilnej rozpaczy szarpać jej brzegi…

Nagle zdał sobie sprawę, że właśnie popełnił śmiertelny błąd, na samym końcu dał się jednak nabrać jak dziecko. Przezwyciężając panikę, błyskawicznie przeszedł w t-eh, na powrót obracając się ku wrogowi i unosząc włócznię; jednocześnie cofnął czas o ten jeden dozwolony kwant, który mógł przynieść mu ocalenie, zdjęty lękiem, że to jednak nie wystarczy. Świat wokół rozmazał się w płynnej nieokreśloności…

… i na powrót zamarł w bezruchu.

Powstrzymał włócznię i wyszedł z t-eh.

Nikt już nie opierał się o zwłoki białej wilczycy. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżała jego przeciwniczka, widniał już tylko krwawy ślad. Powietrze rezonowało gasnącym echem rozpadu Struktur.

Podszedł bliżej, wciąż nie potrafiąc uwierzyć świadectwu zmysłów. Ale tu nie mogło być żadnej pułapki, żadnego oszustwa. Tamta odeszła na zawsze. Jeśli nawet zostały po niej jakieś okruchy, to po kres czasu skazane będą na krążenie pod niebem tej ziemi, odcięte od Przetworzy barierą Płaszcza. Tak, z pewnością nie był to pogrzeb, o jakim mogła marzyć.

Odłożył włócznię, uklęknął i przeciągnął dłonią w powietrzu, w miejscu gdzie przed chwilą leżała, analizując ślady Rozpadu, upewniając się po raz drugi, dziesiąty, setny… Jego wzrok prześlizgnął się po sylwetce wilka. Tamra, przywódczyni Wschodniego Stada, spoglądała na niego wyzywająco lekko przymrużonymi oczami. Nie było w nich bólu ani wściekłości, emanujących od rozsianych dookoła martwych monstrów, z których wiele zresztą nosiło na sobie ślady wilczych kłów; jedynie jakaś pradawna zwierzęca mądrość, ostentacyjnie wymykająca się władzy Kemanah. Cóż, nie była to już jego sprawa, niech Moce Ziemi same mszczą się za doznaną zdradę na wilkach, wielorybach czy też na kim tam jeszcze zechcą. Dla niego liczyło się jedynie to, że po raz kolejny udało mu się ocalić świat, że znów zyskał szansę, aby zbudować prawdziwy pokój, taki, o jakim od początku marzył.

Powstał z kolan, podniósł włócznię i krótką wibracją sem oczyścił się z cząsteczek brudu, krwi i śniegu. Spokojnie potoczył wzrokiem wokół, wreszcie całkowicie poddając się poczuciu ulgi.

− To koniec – obwieścił, wysyłając swe słowa do najdalszych zakątków ziemi. – Inwazja zakończyła się klęską. Najeźdźca został unicestwiony. Zwyciężyłem. To naprawdę koniec.

Lekkim krokiem ruszył ku pozostawionemu na krze alay. Chmura pyłu zaczęła powoli się rozpraszać, porzucona przez podtrzymującą ją dotąd moc.

Być może już wkrótce świat zacznie odzyskiwać swój dawny kształt. Trzeba go będzie jedynie uleczyć z pamięci o tym, co zaszło.

Gdzieś w oddali narastało żałobne wycie północnego wiatru.

Wojna dobiegła kresu.